

Son Tay

Aktorzy:

Generał LeRoy Manor - Jan Machulski

Major Richard Meadows - Marcin Troński

i Pułkownik Arthur Simons - Witold Pyrkosz

Podpułkownik Ben Kraljev - Wiktor Zborowski

Oficer - Adam Ferency

Samochód zatrzymał się z piskiem opon przed parterowym budynkiem bazy amerykańskich sił powietrznych na Florydzie. Generał LeRoy L. Manor wysiadł z auta i pochylił się nad oknem kierowcy.

Generał: Pojedziesz na Duke Field. Odszukasz pułkownika Simonsa i przywieziesz go do mnie. Natychmiast!

W sekretariacie generał zatrzymał się na moment i polecił adiutantowi:

Generał: Wezwać pułkownika Kraljeva!

Musiało zdarzyć się coś niezwykłego, skoro generał Manor tak pilnie wzywał swoich zastępców.

Zamknął drzwi i zdjął marynarkę, gdyż 9 sierpnia 1970 roku był wyjątkowo upalnym dniem, nawet jak na warunki Florydy. Rozluźnił krawat, którego końcówka była przepisowo schowana między guzikami koszuli, usiadł na fotelu za biurkiem i włączył wentylator.

Pierwszy przyszedł jego zastępca podpułkownik Arthur Simons, nazywany Bykiem - zwaliste chłopisko o mocnej szczęce i lekko wystających zębach. Kilka miesięcy wcześniej wrócił z Wietnamu, gdzie służył w specjalnej jednostce "zielonych beretów", dowodzonej przez majora Charlesa Beckwitha, powołanej w 1964 roku do prowadzenia akcji sabotażowych i dywersyjnych przeciwko wietnamskim partyzantom.

Chwilę później zameldował się podpułkownik Ben Kraljev. Niższy o głowę od Simonsa, szczupły, o mocnych żyłastych rękach, bardziej ruchliwy. Zawsze chętnie przyjmował najtrudniejsze polecenia, gdyż, jak twierdził, przeżył już w wojsku wszystko, a chciałby przeżyć jeszcze więcej.

Obydwaj byli najwyraźniej zaskoczeni nagłym wezwaniem do gabinetu szefa. Ten na ich widok podniósł się z fotela i stanął przed mapą Wietnamu wiszącą na ścianie.

Generał: Wracam z Waszyngtonu. Rozkaz jest krótki: kilkudziesięciu komandosów ma dotrzeć do obozu Son Tay, tutaj, w rejonie Hanoi. Wietnamczycy prawdopodobnie przetrzymują tam jeńców. Mamy ich uwolnić.

Pułkownik Simons zdawał się być niezadowolony z tych wyjaśnień.

Simons: Dlaczego "prawdopodobnie przetrzymują"? Skoro mamy ich uwolnić powinniśmy wiedzieć na pewno.

Generał: Dwa lata temu, w lecie, wywiad ustalił, że do starej twierdzy położonej w odległości 23 mil na północny zachód od Hanoi Wietnamczycy przewieźli 55 naszych chłopców, głównie pilotów strąconych nad Wietnamem Północnym. Nie wiemy jednak czy są tam w dalszym ciągu, czy też Wietnamczycy przewieźli ich w inne miejsce. Wywiad nad tym pracuje.

Simons: Kiedy mamy przeprowadzić operację uwolnienia jeńców?

Generał: Musimy być gotowi w ciągu dwóch miesięcy. Prasa już zaczęła pisać o torturowaniu jeńców i strasznych warunkach w wietnamskich obozach, co jest zgodne z prawdą. I... oczekiwaniami prezydenta.

Simons i Kraljev spojrzeli zaskoczeni spojrzeli na dowódcę. Co oznaczały słowa: "I... oczekiwaniami prezydenta?". Generał Manor, dostrzegając ich zdumienie wyjaśnił:

Generał: Tak, panowie, mamy ratować prezydenta.

Generał doskonale rozumiał, dlaczego rozkaz uwolnienia jeńców wydano na początku sierpnia. Zbliżały się wybory i prezydent Richard Nixon zdecydował się ponownie kandydować, ale jego szanse nie były duże. Wygrał wybory w 1967 roku jako polityk, o którym mówiło się, że ma tajny plan zakończenia wojny w Wietnamie. Pierwsze miesiące jego prezydentury zdawały się wskazywać, że spełni obietnice. Ogłosił program "wietnamizacji wojny", co oznaczało, że w Wietnamie żołnierzy amerykańskich zastąpią żołnierze południowowietnamscy, a Stany Zjednoczone ograniczą swój udział w wojnie do pomocy finansowej i materiałowej.

Do 1970 roku amerykański kontyngent zmniejszył się z 543 tysięcy żołnierzy do 340 tysięcy i ich liczba stale spadała. Jednakże w miarę wycofywania wojsk amerykańskich nasilała się działalność komunistycznej partyzantki - Viet Congu, zasilanej głównie przez żołnierzy armii Wietnamu Północnego. W 1970 roku przez granicę przeszło do Wietnamu Południowego ponad 115 tysięcy żołnierzy. Z punktu widzenia amerykańskich strategów równie niebezpieczny był bardzo szybki wzrost pomocy materiałowej, jaką Viet Cong otrzymywał z Północy. Wywiad ustalił, że obok głównego szlaku, nazywanego drogą Ho Chi Minha, prowadzącego wprost z Wietnamu Północnego, coraz więcej amunicji, broni i lekarstw przemycano przez Kambodżę. Tam, w porcie Kompong Som radzieckie, północnowietnamskie i chińskie statki wyładowały zaopatrzenie, które partyzanci przynosili przez dżunglę na osłach, na rowerach i na plecach. Ponadto komunistyczna partyzantka zakładała wzdłuż granicy kambodżańskiej coraz więcej obozów.

Mimo ogromnych wysiłków lotnictwa amerykańskiego nie udawało się zablokować głównych szlaków zaopatrzeniowych. Z powietrza nie sposób było wykryć tras, którymi przemieszczały się transporty. Jeżeli nawet to się udało, to nie sposób ich było zniszczyć. Nie było tam trwałych budowli, takich jak betonowe mosty, wiadukty, bite drogi, które mogłyby zostać zniszczone wybuchami bomb. Do marca 1970 roku bombowce B-52 dokonały 3 630 nalotów, które jednak, podobnie jak ataki na bazy partyzanckie w Wietnamie, okazały się całkowicie nieskuteczne. Tylko żołnierze wysłani do walki w dżungli mogli zatrzymać karawany z zaopatrzeniem.

Dlatego prezydent Nixon zdecydował się wysłać wojska przeciwko partyzanckim bazom w Kambodży.

29 kwietnia 1970 roku 12 tysięcy żołnierzy południowowietnamskich przekroczyło granicę tego państwa. Dwa dni później bombowce B-52 i myśliwce bombardujące dokonały zmasowanych nalotów, zrzucając blisko 7 tysięcy ton bomb. O godzinie 7.40 żołnierze amerykańskiej 1 dywizji kawaleryjskiej ruszyli do walki. Wojna, którą Nixon obiecywał zakończyć, rozpalala się i obejmowała nowe państwa Indochin.

To nie spodobało się Amerykanom. Poczuli się oszukani przez prezydenta. Nie chcieli nowych wojen w Indochinach.

Ameryka zawrzała. Fala demonstracji o niespotykanej sile rozlała się po wyższych uczelniach.

4 maja na terenie Kent State University w Ohio gwardia narodowa - wysłana, aby spacyfikować antywojenne wystąpienia młodzieży - zastrzeliła czterech studentów. Kilka dni później w Waszyngtonie odbyły się wielkie demonstracje antywojenne. Richard Nixon rozumiał, że podobnie jak jego poprzednik, Lyndon B. Johnson, stawał się politykiem zbrodni.

Szanse na ponowny wybór na prezydenta w 1972 roku zmniejszały się z każdym dniem demonstracji i kontynuowania wojny w Indochinach. Udana akcja komandosów, którzy uratowaliby od tortur i poniżenia pięćdziesięciu amerykańskich żołnierzy, mogłaby całkowicie mienić sytuację. Amerykanie staliby się dumni ze swojego prezydenta. Dlatego Nixon wydał rozkaz ataku na wietnamską twierdzę Son Tay, gdzie, jak donosił wywiad przetrzymywani byli amerykańscy jeńcy.

Plan ich uwolnienia opracował pułkownik Ben Kraljev. Zakładał, że komandosi dokonają desantu z sześciu wielkich śmigłowców HH-53 nazywanych Super Jolly Green Giant, które po ataku miały zabrać uwolnionych więźniów. Gdzie mogłyby wylądować?

Pułkownik Kraljev, wskazując na szkic rejonu Son Tray sporządzony na podstawie zdjęć satelitarnych i z samolotów rozpoznawczych mówił:

Kraljev: Są trzy miejsca w rejonie twierdzy, gdzie helikoptery mogą wylądować i wylądować komandosów. Jednakże przedostanie się z tych miejsc do murów twierdzy i sforsowanie ich może zająć kilkanaście minut. To wystarczający czas dla wietnamskich strażników, aby zabić jeńców...

Jeden z oficerów biorący udział w naradzie powiedział:

Oficer: Jeden z helikopterów musi wylądować w samym środku dziedzińca, między murami.

Kraljev: Niemożliwe! Druty i dwa drzewa na dziedzińcu wykluczają lądowanie śmigłowca tak dużego jak Jolly Green Giant.

Pułkownik bez wątplenia miał rację. Kadłub tego dwudziestotonowego śmigłowca miał ponad 20 metrów długości, zaś łopaty jego śmigła zataczały krąg o średnicy 22 metrów. Pilot musiał mieć dużo wolnego miejsca, aby bezpiecznie wylądować. Oficer nie ustępował.

Oficer: Musimy użyć mniejszej maszyny, na przykład HH-3. Niech się rozbije w czasie lądowania, ale efekt będzie piorunujący. Osiągniemy to, na czym nam zależy: całkowite zaskoczenie.

Pomysł był znakomity. Śmigłowiec HH-3, mniejszy od Super Jolly Green Giant i dwukrotnie lżejszy mógł wylądować na środku twierdzy, oczywiście łamiąc łopaty wirnika i zapewne rozbijając podwozie. Bez wątplenia byłby stracony, ale należało zakładać, że żołnierze na jego pokładzie nie ucierpieliby w czasie gwałtownego lądowania i atak byłby całkowitym zaskoczeniem dla Wietnamczyków. Strażnicy musieliby bronić się przed komandosami, którzy nagle spadliby z nieba pośrodku twierdzy, gdy w tym czasie inne grupy komandosów z dużych śmigłowców, lądujących nieco dalej, szturmowałyby mury.

Jednakże realizacja tego projektu była bardzo trudna. HH-3 miał słabe silniki i mógł lecieć z maksymalną prędkością 260 km/h, a było to za mało, aby mógł dorównać samolotom C-130, które miały prowadzić zespół śmigłowców z tajlandzkiej bazy do Wietnamu. Udział samolotów w wyprawie był niezbędny, gdyż miały sprzęt, którego brakowało helikopterom, jak na przykład urządzenia pozwalające na obserwowanie terenu w nocy lub radary TFR, pokazujące ukształtowanie terenu, nad którym przelatywały. Bez pomocy tych urządzeń odnalezienie twierdzy w ciemnościach kryjących dżunglę było niemożliwe. Wnet okazało się jednak, że prądy powietrzne tworzące się za samolotem ułatwią lot śmigłowcom HH-3 i że będą mogły wtedy utrzymać się w formacji.

Pojawił się jednak inny problem. Z amerykańskiej bazy w Tajlandii do Son Tay było 540 kilometrów, zaś zasięg HH-53, przy najbardziej sprzyjających warunkach, wynosił 890 kilometrów. Tak więc, aby śmigłowce mogły powrócić do bazy, musiały tankować paliwo w czasie lotu. Co prawda wszystkie wyposażone były w urządzenia umożliwiające przeprowadzenie takiej operacji, jednakże nawet przy dobrej pogodzie było to przedsięwzięcie ryzykowne. Najmniejszy błąd ze strony pilota śmigłowca zbliżającego się do samolotu-cysterny mógł spowodować, że łopaty wirnika uderzyłyby w tył jego kadłuba. Co gorsza, w czasie lotu do Son Tay tankowanie miało się odbywać w nocy i dość nisko nad ziemią. Nie było jednak innego wyjścia. To ryzyko należało podjąć i liczyć na to, że piloci przeprowadzą operację tankowania z należytą ostrożnością. I będą mieli dość szczęścia.

Czy jednak w Son Tay byli amerykańscy jeńcy?

Mijały tygodnie, w czasie których komandosi z "zielonych беретów" trenowali atak, zaś wywiad usiłował ustalić, ilu jeńców przebywa w wietnamskim więzieniu i czy w ogóle tam są. Pułkownik Simons miał coraz poważniejsze wątpliwości. W czasie jednej z narad powiedział do swojego dowódcy, generała Manora, wskazując na zdjęcia twierdzy zrobione przez samolot

rozpoznawczy. Pułkownik: Nie podoba mi się to. Popatrz na dziedziniec. Nie widać tam żadnego człowieka, choć zdjęcie zrobiono w godzinie 16.00. Jeńcy powinni być na placu. Spójrz na ścieżki. Są zarośnięte trawą i chwastami. Nie byłoby tak, gdyby przebywało tam kilkudziesięciu ludzi.

Do rozmowy wtrącił się pułkownik Kraljev:

Kraljev: Kapitan Ron Jones, pilot z C-130 twierdzi, że w obozie nie ma jeńców. Rozmawiał z pilotem samolotu rozpoznawczego, który robił te zdjęcia. Generał nie chciał jednak na ten temat dyskutować:

Generał: Musimy bezzwłocznie przystąpić do akcji!

Prezydent Richard Nixon, rozumiał jak niebezpieczne jest to przedsięwzięcie. Wahał się. Lecz patrzył na wyniki badań opinii publicznej i widział, jak szybko i jak bardzo spada jego popularność.

Nasilały się protesty przeciwko wojnie. Coraz więcej polityków atakowało prezydenta uznając, że rozszerzenie wojny na Kambodżę i Laos było karygodnym błędem. Nixon musiał odzyskać wiarygodność. Chciał, aby kamery telewizyjne pokazały, jak z lądujących po akcji śmigłowców, podziurawionych kulami, osmalonych dymem, wysiadają wynędzniali, straszliwie zmaltretowani amerykańscy chłopcy, wyrwani z rąk oprawców. A on stałby na lotnisku i ściszałby im dłonie.

Potem, gdy opowiadaliby, jak ich torturowano, poniżano i głodzono, naród musiałby uznać, że on, prezydent, zrobił dobrze rozkazując bombardować bazy komunistyczne - że jego bezwzględność wobec tych, którzy tak bestialsko traktowali jeńców, była całkowicie usprawiedliwiona. Naród znowu pokochałby swojego prezydenta.

Nie mógł jednak zapomnieć, że ma wysłać doborową drużynę w bardzo niebezpieczną i ryzykowną misję. Atak śmigłowców miał nastąpić w pobliżu silnie bronionego Hanoi. Na podstołecznym lotnisku stały nowoczesne samoloty myśliwskie, gotowe do startu i ataku w każdej chwili. Wszyscy komandosi i jeńcy mogli zginąć, a wówczas polityczni wrogowie prezydenta wykorzystaliby to przeciwko niemu. Wahał się. Dopiero późnym popołudniem 18 listopada 1970 roku podjął decyzję.

Wieczorem 20 listopada 1970 roku w bazie w Udorn w północnej Tajlandii 56 komandosów wsiadło do kabin trzech śmigłowców, które wzbiły się w powietrze o 22.56. Od tego momentu liczyła się już każda minuta. Musieli przelecieć nad granicą Wietnamu Północnego w dokładnie wyznaczonym czasie, gdy anteny dwóch stacji radiolokacyjnych, jakie znajdowały się na trasie ich przelotu były zwrócone w drugą stronę. Ten sprzyjający okres trwał zaledwie 2-3 minuty, ale była to jedyna okazja, gdy samoloty i śmigłowce mogły przemknąć niezauważone, nie alarmując północnowietnamskich sił powietrznych.

Zaczęła działać wielka machina, w której sześć śmigłowców, dwa samoloty C-130 i samolot-tankowiec, były tylko niewielką częścią. Łącznie w operacji miało wziąć udział 116 samolotów, które miały osłaniać lądowanie śmigłowców, bronić ich północnowietnamskimi myśliwcami MiG i ogniem działek i rakiet zniszczyć wietnamskie stanowiska na terenie fortu. Kilkadziesiąt bombowców zostało skierowanych do ataku na port w Hajfongu, aby ściągnąć na siebie wietnamskie myśliwce w czasie, gdy śmigłowce lądowały w Son Tay.

Generał Manor poleciał do bazy w Da Nang w Wietnamie Południowym, skąd mógł łączyć się ze wszystkimi jednostkami biorącymi udział w akcji uwolnienia jeńców, a także lotniskowcami, z których w razie potrzeby mogły wyruszyć posiłki.

Pierwsza część operacji przeszła bez żadnych komplikacji. Śmigłowce przemknęły niezauważone nad granicą wietnamską i lecąc tuż za samolotami, które rozpoznawały trasę, mogły pomykać na niewielkiej wysokości. Zbliżali się do celu.

Pilot pierwszego śmigłowca przerwał ciszę radiową, jaką utrzymywali od startu z bazy w Tajlandii.

Pilot: Banana do Apple, 1 do 5, widzę cel. Schodzę!

Szesnastu komandosów na pokładzie śmigłowca schwyciło mocniej za parciane pasy przy ławkach i zapało się nogami o burty. Na wysokości kilkunastu metrów pilot zmniejszył tempo opadania, jednakże nie udało mu się opanować śmigłowca, który uderzył o ziemię z takim impetem, że jeden z komandosów został wyrzucony na zewnątrz. Nikt jednak nie odniósł poważniejszych obrażeń. Wydobyli się z wraku i udało im się dobiec do ściany baraku, dającej osłonę przed pociskami straży. Wietnamscy żołnierze szybko otrząsnęli się z zaskoczenia i skierowali wszystkie karabiny na rozbity śmigłowiec.

W tym samym czasie helikopter, na pokładzie którego był pułkownik Simons, wylądował w odległości czterystu metrów od murów cytadeli na boisku obiektu rozpoznanego przez wywiad i zwiad lotniczy jako szkoła średnia.

Komandosi wyskoczyli na plac i, nie spodziewając się oporu, ruszyli się w stronę murów cytadeli. Wtedy spadł na nich grad pocisków wystrzeliwanych z okien budynku. Amerykanie popełnili błąd, którzy mógł ich kosztować bardzo dużo: budynek, który uznano za szkołę, był w istocie koszarami! Plan, tak sprawnie realizowany, załamał się. Żołnierze grupy pułkownika Simonsa zalegli pod huraganowym ogniem wietnamskich karabinów nie mogąc wyrwać się z tego piekła. A powinni szybko przemierzyć 400 metrów dzielących ich od murów i zaatakować twierdzę od południa, aby wspomóc inną grupę walczącą poza murami.

Ogień z okien budynku koszar nasilał się. Jediną szansą komandosów Simonsa na wyrwanie się spod ostrzału było wsparcie ze strony samolotów krążących nad polem bitwy.

Pułkownik Simons sięgnął po słuchawkę radiostacji i zaczął wywoływać kryptonim samolotów szturmowych:

Simons: Mushroom! Mushroom! Tu Apple 4! Dajcie wsparcie ogniowe. Zalegliśmy na placu! Dajcie ogień na okna budynku!

Głos: Ja, Mushroom, słyszę cię Apple 4. Idę do ciebie.

To meldował się pilot szturmowca A-1E Skyraider. Te niewielkie, śmigłowe samoloty startujące z lotniskowców, były potężnie uzbrojone. Dwa działka 20-milimetrowe rakiety i bomby miały wielką siłę niszczącą, a mała prędkość lotu była ich ogromnym atutem w takich operacjach. Wsławiły się w marcu 1966 roku, gdy zatrzymywały wietnamskich żołnierzy atakujących amerykańską bazę w dolinie Shau.

Dwa szturmowce pojawiły się nad drzewami. Przemknęły na niewielkiej wysokości tuż nad dachami budynków i wystrzeliły świecą w górę. Zrobiły obszerną pętlę i skrzydło w skrzydło, jak na pokazach lotniczych, nadleciały od północy. Pod ich skrzydłami widać było ogniki błyskające w lufach działek. Po sekundzie wybuchy na ścianie koszar wskazały, że za sterami samolotów siedzą doskonali piloci. Szybko zbliżały się do placu. Leciąły coraz niżej. Simons dostrzegł, jak spod skrzydeł wytrysnęły smugi dymu, które wnet wyprzedziły samoloty i szybko zaczęły zbliżać się do budynku. Po chwili pojawiły się następne smugi. Cztery rakiety trafiły wprost okna. Simons wtulił głowę w ramiona i po chwili poczuł potężne uderzenie gorącego powietrza, a na jego głowę posypał się grad kamieni, kawałków cegieł i szkła. Nagle zaległa cisza, w której słychać było ryk silników samolotów lecących tuż nad dachami koszar. Pułkownik Simons podniósł mikrofon:

Simons: OK, Mushroom! Ładnie ich trafiliście! Powtórzcie to! Kryjcie nas, dopóki nie wsiądziemy do śmigłowca.

Głos: Mushroom do Apple 4. Bądźcie moimi gośćmi. Już wracamy do was.

Samoloty na moment znikły za drzewami, lecz wybuchy ich rakiet musiały wyrządzić tak duże szkody wewnątrz koszar, że nie padł już stamtąd żaden strzał.

Simons i żołnierze z jego oddziału, ostrzeliwując się na oślep, nie czekając aż powrócą szturmowce, zaczęli biec do wracającego po nich śmigłowca. Maszyna zawisała pół metra nad ziemią i obróciła się bokiem w stronę koszarowego budynku, aby osłonić biegnących i umożliwić bocznemu strzelcowi prowadzenie ognia. Widać było, jak stoi w drzwiach, których otwarta była tylko górna połowa, i wali długimi seriami po oknach wietnamskiego budynku.

Simons zaczął liczyć żołnierzy wskakujących do wielkiego kadłuba.

Simons: Nikt nie został?

Głos: Są wszyscy, pułkowniku!

Pułkownik Simons schwycił za klamkę i podciągnął się. Śmigłowiec już wzbijał się, gdy znowu nadleciały samoloty. Tym razem nie strzelały, gdyż obawiały się trafić we własną maszynę, która

szybko wznosiła się nad placem apelowym, który tak niefortunnie uznano za szkolne boisko. Na szczęście tylko jeden żołnierz odniósł niegroźną ranę.

W tym czasie z drugiego śmigłowca, który wylądował w pobliżu muru twierdzy wyskakiwali komandos. Pierwszy na ziemię zeskokczył major Richard Meadows, dowódca grupy. Dobiegł do muru i skrył się w niewielkim rowie odwadniającym. Wnet podbiegło do niego kilku komandosów. Jeden z rozmachem rzucił linę zakończoną niewielką kotwicą o trzech ramionach. Przeleciała przez mur. Wtedy ściągnął gwałtownie linę. Inny komandos przerzucił przez mur kilka granatów, na wypadek, gdyby tam kryli się Wietnamczycy. Oczekali kilka sekund, aż usłyszeli głuchoe wybuchy, i jeden po drugim zaczęli wspinać się po linie. Pierwszy, który dotarł na szczyt, rozejrzał się, ale nie widząc Wietnamczyków przełożył nogę przez mur i zniknął po drugiej stronie. Po kilku minutach cała grupa była na dziedzińcu. W oddali widzieli budynek o zakratowanych oknach. Tam powinni być jeńcy.

Dowódca, major Meadows, wskazał swoim żołnierzom stanowiska i krzyknął:

Meadows: Osłaniać mnie! Po oknach!

Wybrał trzech żołnierzy i razem przebiegli kilkadziesiąt kroków zygzakiem, umykając wietnamskim pociskom. Dobiegli do muru. Meadows zębami wyciągnął zawleczkę z granatu i wsunął go przez szparę pod okiennicą okna na parterze. Wybuch wyrwał okiennicę i musiał uczynić wewnątrz wielkie spustoszenie, gdyż strzelanina wyraźnie osłabła. Jeden z komandosów podczołgał się do drzwi i zawiesił dwa granaty na klamce. Zawiązał sznurek na kółkach zawleczek i szybko wycofał się. Szarpnął za sznurek i odskoczył jeszcze o parę metrów, zanim wybuch wzbijający ceglany kurz wyrwał wielkie drewniane drzwi z futryny, odsłaniając ciemną czeluść sieni.

Komandosi wdarli się do środka. Wietnamczyków na dole nie było. Wycofali się na piętra. Początkowo z rzadka rzucali granaty, ale widocznie nie mieli ich dużo, gdyż po kilku wybuchach, które nie wyrządziły nikomu szkody, zaprzestali, oczekując, aż Amerykanie zaczną wdzierać się na górę.

Meadows: Kalinsky i Hater, ustawić tutaj erkaemem i pilnować schodów. Reszta za mną. Wbiegli do korytarza. Drzwi do cel nie były zamknięte, lecz wewnątrz nie było nikogo.

Meadows przechodził z celi do celi. Nigdzie nie było najmniejszego śladu wskazującego na to, że w ostatnich miesiącach kogokolwiek tam więziono.

Meadows: Wycofujemy się!

Major Meadows nawiązał łączność z dowódcą oddziału komandosów pułkownikiem Simonsem.

Meadows: Apple 3 do Apple 1, tutaj nikogo nie ma. Wycofuję chłopców. Odbiór.

Wybiegali małymi grupkami w stronę muru, gdzie ziała pustką wielka wyrwa po wybuchu ładunku podłożonego przez saperów. Liczono, że zabiorą z budynku jeńców osłabionych, ledwo powłóczących nogami, więc niezdolnych do przejścia przez mur.

W tym czasie pułkownik Simons, który odebrał raport Meadowsa informował przez radio generała Manora w bazie Da Nang:

Simons: Generale, tu nikogo nie ma! Powtarzam: nikogo! Wycofujemy się!

Generał: Potwierdzam.

Jego najgorsze przecucia sprawdziły się. Uderzyli z ogromną precyzją. Wykonali plan jak na ćwiczeniach. Bez strat. Wszystko nadaremnie.

Po kilkunastu minutach śmigłowce, wzbijając tumany kurzu unosiły się nad palmami siejąc dookoła ogniem z karabinów maszynowych.

Akcja w Son Tay trwała zaledwie 27 minut. Cały oddział "zielonych beretów", 56 żołnierzy, wracał bez strat, tylko jeden, lekko ranny.

Wkrótce w pobliżu śmigłowców pojawiły się myśliwce F-105, które miały ochronić powolne maszyny, w razie gdyby Wietnamczycy wysłali w pościg za nimi swoje myśliwce.

Głos przez radio: "Apple 1" bez strat.

Głos przez radio: "Apple 2" bez strat.

Głos przez radio: "Apple 3" bez strat.

Głos przez radio: "Apple 4", jeden lekko ranny.

Wszystkie śmigłowce wracały, oczywiście z wyjątkiem "Banana 1", który, rozbity, pozostał na placu cytadeli Son Tay.

Dwa lata później Wietnam Północny zwolnił kilkudziesięciu jeńców amerykańskich. Wśród nich byli ci, których więziono w Son Tay. Generał Manor spotkał się z nimi na Filipinach. Dowiedział się wówczas, że w połowie lipca przeniesiono ich z Son Tay do innego obozu. Akcja komandosów miała jednak ten dobry skutek, że Wietnamczycy, obawiając się podobnych rajdów, przenieśli jeńców do kilku dużych obozów, silnie chronionych. Amerykańscy jeńcy byli tam lepiej traktowani, a w każdym razie nie byli już uzależnieni od humoru komendanta i strażników, którzy w niewielkich, zagubionych w dżungli obozach stawali się panami życia i śmierci tych, którzy trafiali w ich ręce.

Akcja w Son Tay stała się wzorcowym przykładem precyzyjnego uderzenia komandosów. Kilka lat później ludzie planujący inną akcję uwolnienia jeńców opierali się na doświadczeniach z Son Tay. Inny prezydent, Jimmy Carter, też chciał wykorzystać doświadczenia swojego poprzednika...

copyright 2001 by Radio ZET Sp. z o.o.
webmaster@radiozet.com.pl